

30+1 OPOWIADAŃ

Edgar Allan Poe

Stefan Grabiński

Arthur
Conan Doyle

Ilustracje: Marek Regner

Kryminat
na każdy
dzień

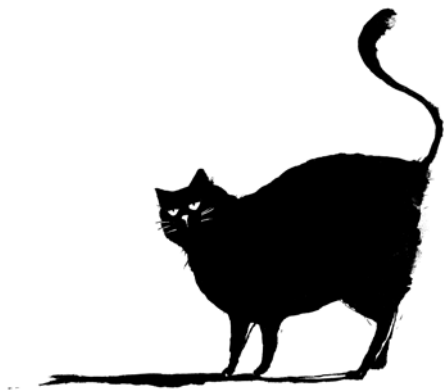
Edgar Allan Poe
Stefan Grabiński

Arthur
Conan Doyle

30+1
OPOWIADAŃ

Kryminat
na każdy
dzień





Przeminął drugi i trzeci dzień, a kot mój nie powracał.
Raz jeszcze westchnąłem jak wyzwoleniec.
Potwór, gnany przestraczem, opuścił te miejsca raz na zawsze!
Nigdy go już nie zobaczę!

Edgar Alan Poe, *Czarny kot*

SPIS TREŚCI

CZERWONA MAGDA Stefan Grabiński	7
CZARNY KOT Edgar Allan Poe	23
GARBUS Arthur Conan Doyle	37
HOP-FROG Edgar Allan Poe	61
BŁĘDNY POCIĄG Stefan Grabiński	75
SERCE – OSKARŻYCIELEM Edgar Allan Poe	85
PIĘĆ PESTEK Z POMARAŃCZY Arthur Conan Doyle	93
KOCHANKA SZAMOTY Stefan Grabiński	117
MASKA ŚMIERCI SZKARŁATNEJ Edgar Allan Poe	135
BLIZNA Arthur Conan Doyle	145
METZENGERSTEIN Edgar Allan Poe	175
POŻAROWISKO Stefan Grabiński	187
STUDNIA I WAHADŁO Edgar Allan Poe	209
PRZEMYŚLNE OSZUSTWO Arthur Conan Doyle	231
ZEZ Stefan Grabiński	255

BERENICE Edgar Allan Poe	269
KATECHIZM RODZINY MUSGRAVE'ÓW Arthur Conan Doyle	283
SYGNAŁY Stefan Grabiński	309
PRAWDZIWY OPIS WYPADKU Z P. WALDEMAREM Edgar Allan Poe	321
GEBROWIE Stefan Grabiński	335
KRÓL DŻUMIEC Edgar Allan Poe	355
OSTATNIE ZAGADNIENIE Arthur Conan Doyle	373
NA TROPIE Stefan Grabiński	395
PORTRET OWALNY Edgar Allan Poe	415
PUSTY DOM Arthur Conan Doyle	421
PO STYCZNEJ Stefan Grabiński	447
WILLIAM WILSON Edgar Allan Poe	463
SMOLUCH Stefan Grabiński	491
BECZKA AMONTILLADA Edgar Allan Poe	503
MASZYNISTA GROT Stefan Grabiński	513
MŚCIWY KARZEŁ I MASŁAW, KSIĄŻĘ MAZOWIECKI. POWIEŚĆ NARODOWA Zygmunt Krasiński	529



Stefan Grabiński

CZERWONA MAGDA

W strażnicy pogotowia pożarniczego panowała cisza północy. Światło latarni — czujki naciągniętej wysoko na haku pod stropem — roztaczało przyćmiony wachlarz promieni na izbę kwadratową, z dwoma tapczanami pod ścianą i szafą na akta i hełmy zapasowe. Pod oknem przy stole siedziało dwóch strażaków nad partią warcab, puszczając od czasu do czasu kłęby żółtego dymu z długich, wiśniowych lulek¹. Grali znać bez przejścia, tak sobie dla zabicia czasu, bo ruchy rąk były leniwe, jakby od niechcienia, gdy z twarzy znużonych czuwaniem wiała nuda i senność. Czasem któryś ziewnął szeroko i rozprostował przygarbione ślęczeniem plecy, czasem bąknął półgębkiem jakąś uwagę. I znów zapadała cisza spowita dymem fajek.

Na tapczanach leżało dwóch dyżurnych; jeden pod lewą ścianą chrapał smacznie w oktawę tonów, gdy jego partner ze strony przeciwnej ćmił w milczeniu papierosa ze wzrokiem wbitym

¹ *lulki* – fajki.

nieruchomo w pułap. W jakiejś chwili oderwał oczy od sufitu, przydusił dogasający ogarek i rzucił w kąt izby. Jeden z grających odwrócił się:

— Nie śpicie, panie sierżancie?

— Jakoś mi się nie klei. Grajcie dalej. Wolę dumać.

Wyciągnął się z powrotem na łóżku, splótł ręce pod głową i zapatrzył się w zamyśleniu w duży, wiszący obraz św. Floriana. Nie-
wesoła znać była zaduma, gdyż twarz mu się chmurzyła raz po raz i co chwila ściągał boleśnie długie, czarne łuki brwi.

Jakoż miał się czem kłopotać sierżant pożarny, Piotr Szponar. Od trzech tygodni powróciła do miasta na służbę jego jedynaczka, Magda, a wraz z nią te same troski i obawy, które przed dwoma laty zmusiły do wydalenia jej w strony odległe, gdzie jeszcze o niej nikt nic nie słyszał.

Bo dziwnym też stworzeniem była córka strażaka. Wysoka, wątła i blada zwracała uwagę dużymi, czarnymi, wiecznie w przestrzeń zapatrzonymi oczyma i ruchami rąk, których nigdy opanować nie umiała. Ręce te równie blade jak twarz przebiegały ustawicznie jakieś nerwowe dreszcze czy skurcze, wywołując niespokojny, spazmatyczny ruch palców — długich, wąskich, wiecznie zimnych. Włosy miała bujne, czarne, które w lśniących kruczo węzłach wymykały się spod jedwabnej, ognistopomarańczowej chusty, jedynej ozdoby, na jaką stać było biedną dziewczynę.

Bo biedną była, bardzo biedną córka pożarnika. Matka Marta, podobno wielkiej piękności cyganka, odumarła ją wcześniej, pozostawiając w spadku naturę chorą jakąś, niesamowitą i tęsknotę do wielkich, bezkresnych stepów. Ojciec kochał Magdę uczuciem tkliwym i serdecznym, lecz jakby z odcieniem lęku przed własnym dzieckiem. Piotr Szponar bał się swej córki. Bał się jej białej jak marmur twarzy, jej wąskich, zaciętych uporczywie ust, jej długich a częstych zamyśleń. Lecz były i inne, głębsze przyczyny

ojcowskiego lęku.

Oto żonie jego jeszcze, gdy wiodła pośród swoich życie nomadów, przepowiedzieć miała stara cyganka, że uwiedzie ją człowiek biały, osiadły, i że spłodzi z nim dziecię — dziewczynę, córkę płomieni, którą ojciec będzie zwalczał przez całe życie.

Wróżba zdawała się dziwnie spełniać. Marta dożyła tylko pierwszej jej połowy, porzucając dziecko na zawsze już w piątym roku życia. Z trwogą czekał Piotr na ziszczenie się niejasnej dlań zrazu części drugiej. Aż przyszedł czas, w którym tajemnicze słowa wiedźmy zaczęły nabierać właściwego znaczenia. Magda Szponar miała wtedy lat piętnaście i służyła w mieście w fabryce tutek², gdy wybuchł pierwszy pożar: zapaliły się — nie wiadomo jakim sposobem — skrzynie z bibułkami i pożoga rozszerzyła się na cały zakład w ciągu kilku minut. Strata była olbrzymia; szła w krocie. Sprawcy nie wykryto nigdy. Natomiast po ugaszeniu pożaru znaleziono robotnicę, Magdę Szponar, w małej salce środkowej cudem ocalałej z morza płomieni, rozpostartą na podłodze w głębokim uśpieniu. Dziewczyna prawdopodobnie przetrwała w tym stanie cały pożar i dopiero po dwugodzinnym cuceniu otworzyła ociężałe ze snu powieki. Jak zdołała wytrzymać przez godzinę bez uduszenia się w zamkniętym pokoju, otoczonym zewsząd falami ognia, i w jaki sposób w ogóle ocalał pokój, położony w samym środku płonącego budynku — pozostało na zawsze nierozwiązaną zagadką.

Po tym wypadku zmieniała Magda parokrotnie chlebowodawców, służąc przeważnie jako pokojówka przy zamożniejszych rodzinach, jako garderobiana w kawiarniach lub panna sklepowa. I zawsze jakimś fatalnym trafem wkrótce po jej wstąpieniu do służby wybuchały pożary w domach i instytucjach, w których była wtedy zajęta. Przyczyna tych klęsk żywiołowych pozostawała za

² *tutka* – rurka z bibulki do papierosów z ustnikiem lub bez ustnika.

każdym razem niewyjaśnioną; ludzie stawali zawsze już wobec faktu dokonanego.

Zrazu nikomu ani śniło się szukać jakiegoś związku między pożarami w mieście a Magdaleną Szponarówną, której zachowanie się poprawne i bez zarzutu nie zwracało na siebie niczyjej uwagi. W końcu jednak zaczęły wśród warstw miejskiego proletariatu krążyć jakieś dziwne pogłoski na temat częstych wypadków ognia w czasach ostatnich. Doszło bowiem do tego, że nieraz gorzało w mieście po dwa i trzy razy na tydzień i to — rzecz dziwna — ciągle w tym samym miejscu; ogień jakby upodobał sobie pewne dzielnice — co więcej, pewne domy, rodziny, nawiedzając je w sposób szczególnie natrętny. Wreszcie ni stąd, ni zowąd, po okrutnym pożarze na Lewandówce, który spalił niemal doszczętnie świeżo wystawioną kamienicę miejskiego syndyka, gruchnęła nagle pogłoska, że sprawczynią tylu klęsk nie jest nikt inny tylko Magda Szponarówna, służąca w domu Doleżanów. Wzburzony tłum pospółstwa napadł na nią na środku rynku i byłby przeprowadził nad nieszczęśliwą doraźną egzekucję, gdyby nie interwencja ojca, powszechnie lubianego i cenionego obrońcy dobra publicznego i policji, który uprowadził dziewczynę przed zemstą rozwścieczonego motłochu.

Przeprowadzone śledztwo nader surowo i ściśle nie wykazało winy podsądnej; sędzia śledczy stwierdził tylko ku powszechnemu zdumieniu na podstawie zeznań świadków i oskarżonej, że w przeciągu roku niespełna jej służby, zaszło w mieście przeszło sto pożarów i to przeważnie tylko w domach jej chlebobawców w danej chwili. Nadto ustalono charakterystyczny fakt, dotyczący zachowania się Szponarówny w czasie podejrzanych pożarów: Oto w pięćdziesięciu wypadkach na sto znachodzono³ ją po ugaszeniu ognia

³ *znachodzono* – znaleziono.

w stanie nieprzytomnym, prawie kataleptycznym, zwykle wewnątrz domu, który uległ klęsce. Oto wszystko. Dowodów winy bezpośredniej nie zdołali oskarżyciele przytoczyć ani w jednym wypadku; ani razu nikt jej nie przyłapał na gorącym uczynku. Owszem, o podpaleniu jakimkolwiek, zdaje się, nie mogło być mowy, gdyż, jak wynikało z zeznań świadków naocznych i poszkodowanych, dziewczyna od chwili wybuchu pożaru aż do ugaszenia pozostawała jakby w transie i nie ruszała się z miejsca; ponadto ogień wybuchał nie w bezpośredniej jej bliskości, lecz zwykle w pewnym oddaleniu, np. w drugim lub trzecim pokoju.

Kilku lekarzy-ekspertów, którzy okazali żywe zainteresowanie się tą sprawą, po dokładnym zbadaniu Magdy, uznało ją za istotę anormalną, z przewagą sił podświadomych, skłonną do katalepsji a nawet somnambulizmu⁴.

Ostatecznie zapadł wyrok uwalniający, lecz po cichu poradził sąd sierżantowi pożarników, by córki do służby więcej nie posyłał, a to ze względu na podniecenie opinii publicznej, która była stanowczo przeciw Magdzie. Jakoż mimo wyroku ułaskawiającego, odtąd Szponarówna, przewzana Czerwoną Magdą, uchodziła za podpalaczkę i czarownicę, której wszyscy schodzili z drogi, bojąc się przypuścić ją na próg swego domu.

Znękany ojciec wysłał ją w strony odległe do krewnych na wieś w nadziei, że po jakimś czasie będzie mogła powrócić, gdy zatrze się pamięć katastrof, a ludność uspokoi się i zapomni o Czerwonej Magdzie.

Jakoż spędziła na wsi dwa lata, nie dając o sobie znaku życia. Wtem przed trzema tygodniami powróciła nagle do miasta bledsza niż zwykle, z zapadłymi policzkami i śladami łez w zaczerwienionych oczach. Na pytania odpowiadała niechętnie, z widocznym

⁴ *somnambulizm* – inaczej lunatyzm. Mówienie przez sen lub wykonywanie we śnie różnych czynności.

przymusem i tylko rwała się do służby, nie chcąc być ojcu ciężarem w domu. W końcu ustąpił na usilne błagania i, choć z ciężkim sercem, wyrobił jej miejsce w domu bogatego kupca Duchnica przy ulicy Młynarskiej. Dziewczyna objęła tam miejsce służącej i od tygodnia spełniała już gorliwie obowiązki.

W mieście zjawienie się czerwonej Magdy przeszło jakoś bez wrazenia i zdawało się, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Lecz Piotr Szponar gryzł się tym powrotem ogromnie i z dnia na dzień wyczekiwał złych „nowin”. Bo mimo wyroku władz, mimo wyraźnych zaprzeczeń z ust samej Magdy, pożarnik nie wierzył w jej niewinność; gdzieś głęboko, na samym dnie duszy, drzymało przekonanie, że wszystko, co ludzie o niej mówią, jest okropną i smutną prawdą. On, ojciec i sierżant straży pożarnej w jednej osobie, mógł coś o tym powiedzieć — on, który gasił własną ręką wszystkie po kolei pożary, jakie opinia ludzka wiązała w tajemniczy sposób z jego Magdą. Miał czas już poznać dokładnie wszystkie towarzyszące im symptomy i zbadać je do gruntu; odróżniał je jakimś osobnym, swoistym zmysłem od innych „zwykłych”, którym też napatrzył się dowoli. Nie na darmo dosłużył się stopnia sierżanta i uchodził za pierwszorzędną siłę pożarniczą. Gdyby go spytano na spowiedzi: — Sierżancie pożarny, Piotrze Szponar — czy córka twoja jest winną? — odpowiedziałby, że nie, o ile chodzi o jej własne sumienie i pełną ludzką świadomość. Lecz gdyby go ktoś zapytał, czy wierzy w bezwzględną niewinność Magdy, zaprzeczyłby również stanowczo.

Najwięcej go jednak bolało, że to właśnie jego córka, jego krew. Tkwiła w tym jakaś bolesna ironia, że jego rodzone dziecko zdawało się stwarzać dookoła siebie ową niszczącą siłę, którą on tępił zajadle od tyłu lat. Czasami przychodziła dziwna myśl, że może właśnie dlatego, może właśnie za tę zaciętość, z jaką zwalczał ogień, przyszedł nań dopust; może okrutny żywioł mścił się na nim

w ten sposób? Nie wiadomo. Szponar błędził i cierpiał ogromnie.

Oto i teraz, w tej śródnocnej godzinie trwożne myśli nie dawały spokoju, wałęsając się jak upiór pod czaszką.

Dźwignął się ciężko z tapczanu i, aby czymś odpędzić męczącą zmoreę, zaczął przeglądać regulamin pogotowia wycięty na ścianie. Lecz i to znać mu się wkrótce uprzykrzyło, bo odwrócił się znudzony do tablicy na rozkazy i kredą ją kreślić jakąś karykaturę.

Wtem targnął ciszą głos dzwonka: trzy ostre, dojmujące ukłucia. Automaty pożarowe grały.

W strażnicy wszczął się nagły ruch, przemykały pod oknami w nerwowym pośpiechu jakieś postacie. Szponar z bijącym sercem studiował wskazówki automatu. Każda chwila przynosiła mu nowe szczegóły, sprecyzowane na minutę, sekundę. Strażak wlepił oczy w lśniącą, platynową tarczę, ale je wnet zamknął z powrotem. Jak gracz niepewny karty trzyma ją długo pod ręką, zanim odwróci, chwilę zgaduje — tak pożarnik nakrył trwożnie powiekami oczy i bał się spojrzeć w twarz prawdzie. Wreszcie podniósł je, wpijając głodne spojrzenie w aparat. Tu już była odpowiedź gotowa: zwięzła, wyraźna, nieubłagana.

— Gore⁵! Dzielnica IX. Garbarze. Młynarska.

Szponar zachwiał się i zbladł. Przeczucie nie omyliło go. Tak — to było tam — na pewno! Gdzieżby indziej? Niewątpliwie paliło się u Duchniców! Ogniowa kalwaria⁶ rozpoczynała się od nowa. Już w trzecim tygodniu służby! Zawierucha bólu i buntu przegięła go na chwilę ku ziemi. Lecz się przemógł. Nie było czasu do namysłu; należało działać, wydać rozkazy, objąć dowództwo.

Już grała na alarm trąbka, zwołując pogotowie, już drzemiący jeszcze przed chwilą pompierzy przypasywali pośpiesznie gurtę⁷,

⁵ *goreć*, gorzeć – palić się.

⁶ *kalwaria* – tu: cierpienie.

⁷ *gurt* – pas rzemieenny używany do ręcznego przenoszenia ciężarów oraz jako część uprząży.

nakładali szłomy⁸, przerzucali przez plecy zwoje sznurów i linewek ratunkowych.

Sierzant wybiegł ze strażnicy na dziedziniec. Tu pod wspinalnią i w magazynie wrzały już gorączkowe przygotowania do wymarszu. Przez szeroko rozwarte wierzeje⁹ wyprowadzano ze składu parę sikawek, wyjechał samochód rekwizytowy i dwie kominiarki do wyłącznej dyspozycji załogi. W blasku reflektorów połyskiwały na głowach metalowe kaski, zapalały się zimne światła w obuszkach toporów.

Szponar spokojny już i zrównoważony wydawał zlecenia. Donośnie brzmiał na dziedzińcu głos jego równy, pewny, męski.

— Wentyle w porządku? — rzucił w pewnej chwili pytanie.

Parę posłusznych ramion pochyliło się w lot ku tłokom sikawek i przeprowadziło próbę.

— Panie sierżancie, melduję, że wentyle grają — zgłosił rezultat jeden z pompierów.

— Dobrze. Hej, chłopczy! — krzyknął, zajmując stanowisko na jednym z wozów — komu w drogę, temu czas! Z Bogiem ruszajmy!

Zadrgała w powietrzu rześka pobudka trąbki, rozskoczyły się na obie strony skrzydła bramy wyjazdowej i wśród zgiełku hubek¹⁰, w krwawym świetle zapalonych pochodni runęły w ciszę ulic wozy pożarników: na czele pędził w szalonym tempie samochód z rekwizytami, za nim drugi zjeżony żebrami drabin, widłami, dżaganami¹¹ i tłumicami¹², z potężnym zbiornikiem wody; w porośrodku za nim dwie sikawki typu „Matador” z czeladzią do obsługi,

⁸ *szłom* – staropolskie słowo na szyszak, czyli hełm.

⁹ *wierzeje* – dwuskrzydłowa brama zbita z desek; też: wrota.

¹⁰ *hubka* – tu: głośna mościeżna trąbka strażacka.

¹¹ *dżagan* – młot, kilof, czekan.

¹² *tumica* – płaskie wiklinowe miotły obszyte nasiąkliwą tkaniną, osadzone na długich drążkach, służące do tłumienia ognia i zabezpieczania przed dalszym przenoszeniem się.

na końcu auto osobowe z załogą pod dowództwem sierżanta...

Była trzecia nad ranem, głucha listopadowa noc. Gwałtowny wiatr wypadął z parowów ulic i zaułków i miotał w oczy całe przygarście prochu, pyłu i brukowego kurzu. Skądś, z ogrodów leciały żółtkłe tuleje jesiennych liści i z suchym szelestem toczyły się po płytach chodników...

Minęli Aleje, skręcili na Świętojańską. Z dala, ponad wieżami farnego kościoła gorzała łuna pożaru. W oknach ukazywały się wylęknione głowy, w bramach zaspani dozorczy; na placach zaczęły skupiać się gromadki ludzi.

A w puste, wydłużone pierzejami latarni ulice wpadały zwoje dźwięków ostrych, krzykliwych, odzewy pożarniczych hubek, głos trąbki metaliczny.

— Gore! Gore!

Docierali do placu Świętego Ducha. Sponad zrębów kamienic strzeliły w niebo krwawe siklawy ognia, wił się dym w czarnych, żałobnych przegubach. W powietrzu czuć było już swąd spalenizny, słyszać wzrastający wciąż zgiełk ludzi...

Minęli plac, lotem strzały okrążyli budynek poczty i z wściekłą furią runęli w ujście Młynarskiej. Tu, w głębi po lewej, uderzyła w oczy groźna krasa pożaru. Palił się trzypiętrowy dom kupca Duchnica. Ogień, wybuchły na wysokości pierwszego piętra, podsycany bez przerwy podmuchami jesiennego wiatru, ogarnął w ciągu kwadransa wyższe piętra i sięgał już purpurową wstęgą po parter. Mimo nocnej pory wkoło jasno było jak w dzień. Wśród krzyku ludzi i trzasku płomieni wpadło pogotowie na duży, w tej chwili tysiącem iskier zasypany skwer przed kamienicą. Przyjął ich piekielny zgiełk i jęki. Na ulicy wkoło domu leżały stosy wyrzucanych z pomieszczeń sprzętów, całe hałdy kufrów, szaf, kobierców w dzikim chaosie nieładu.

Pożar wybuchł tak nagle i rozszerzył się tak szybko, że wiele osób zdołało zaledwie umknąć w samej bieliźnie. Innym drogę odcięły buchające z dolnych pięter płomienie, ci pozostali w płonąjącym domu, czekając pomocy strażaków. Co chwila ukazywały się w oknach wybladłe twarze nieszczęśliwych, daremnie żebrząc o ratunek, który nie nadchodził. Jakaś kobieta, przywiedziona czekaniem do rozpacz, rzuciła się z drugiego piętra na bruk i skończyła na miejscu. Na ten krytyczny moment nadjechali pożarnicy. W mgnieniu oka usunięto z ulicy gawieź i ułożono linię węzową od domu do brzegu sąsiedniej rzeki. Zanim gumowe ssawki nabrały dostateczną ilość wody do zbiornika, rozpoczęły swą działalność potężne ekstinktory¹³. Dzielny „Rese” i „Matador”, zasilane gorliwie przez podręczne hydrofory, natarły strumieniami wody na ognisko pożaru: pierwsze piętro i parter. Równocześnie przystawiono do muru pięć drabin wysuwalnych i dwa gęsiorki. Unosząc prawą ręką wysoko w górę prądnicę węża, wspinał się pierwszy na szczeble sierżant Szponar.

— Za mną, chłopcy! — zachęcił gromkim głosem towarzyszy.

Sześciu pożarników, zagranych jego przykładem, zaczęło wstępować po drabinach ku zagrożonym piętrům; za nimi w ślad pęłzały ku górze węże wylotowe przymocowywane po drodze podwiązkami do łat i szczebli. Dosiągłszy poziomu pierwszego piętra, puścił Szponar mocny, ześrodkowany prąd wody do mieszkania naprzeciw, w którym kłębiły się gęste runa ognia i dymu. Czerwona topiel na chwilę wkłęśła gdzieś w głąb, odsłaniając wnętrze pokoju na pół ogołoczonego ze sprzętów.

— Stąd chyba już uciekli — wyciągnął szybki wniosek. I pozostawił opiekę nad pierwszym piętrēm dwóm towarzyszom,

¹³ *ekstinktor* – strażacka sikawka gazowa.

którzy dogonili go tymczasem.

Ponieważ drabina nie wysuwała się wyżej, przeto zaczepił się karabińczykiem¹⁴ o przedostatni jej szczebel na poziomie pasa, chwycił podaną mu z dołu przez kolegę drabinkę hakową w obie ręce i podniósłszy wysoko w górę ponad głowę, zahaczył ją w mig krukami o okno drugiego piętra. Po dokonaniu manewru z bajeczną wprawą i chyżością zaczął wspinać się po szczeblach z dobytym toporkiem w prawej.

Już płomień, przeżarłszy opustoszałe dwa dolne poziomy, sięgnął krwawą grzywą po trzeci; już długie, gorące języki podlizywały balkony i ganki drugiego piętra, już wciskały się czerwone żądła przez drzwi i okna. Rozległ się brzęk pękających szyb zmieszany z krzykiem ludzkim.

Na jednym z balkonów zbiło się w gromadkę kilkunastu mieszkańców, zasłaniając się rękoma przed dojmującym już z bliska żarem.

W tej chwili sierżant dotarł do platformy drugiego piętra. Ruchem szybkim jak myśl wyciągnął ramię po najbliższej stojącej kobietę z rozwianym od wiatru włosom, uniósł ją lekko ponad balustradę balkonu i podał stojącemu niżej towarzyszowi, który omdlewającą mu na rękach sprowadził na dół.

— Płachta ratunkowa! — zakomenderował Szponar, widząc, że gromadka na balkonie powiększa się i pożar wtargnął już do wnętrza.

Uratowawszy w ten sposób jeszcze parę osób, porучzył resztę kolegom, sobie pozostawiając najtrudniejsze zadanie w głębi płonącego domu. Poprawił na głowie kaptur dymowy, odpiął karabińczyk i okraczwszy ostatni szczebel drabiny, wskoczył przez okno do środka. Za nim wśliznęła się zdradziecki płomień.

¹⁴ karabińczyk – zaczep wspinaczkowy w kształcie otwieranego pierścienia.

Rozpoczęło się bohaterskie dzieło pożarnika. Jak nurek na dnie morza rzucał się Szponar na wsze strony w gorączkowym szukaniu, przebiegał pokoje, przepatrywał zaciszne, z przepychem urządzone buduary, przemierzał nerwowym biegiem opuszczone świeżo sypialnie. W pewnej chwili natknął się na jakieś ciało, leżące na posadzce. Schylił się, dźwignął i wśród kłębow duszącego dymu zawrócił ku oknu. Tu na szczęście trafił na jednego z pompierów i oddał mu swój ciężar: śliczną, dziesięcioletnią może dziewczynkę.

— Przycześć do dwóch ostatnich pięter wory ratunkowe! — krzyknął na pożegnanie rozkaz, zawracając sam na boczne skrzydło w głąb.

W tej chwili zwycięski pożar opanował lewą połąć drugiego piętra i wciskał się palącą lawą w sam środek. Sierżant obrócił się na moment, by ujrzeć wysuwającą się z jakiejś alkowy wąską, purpurową szyję płomienia. Wciągnął w nozdrza powietrze i wtedy uczuł znany sobie tak dobrze zapach jej włosów.

Nie po raz pierwszy spotykał się z tą wonią w czasie pożarów: płomienie pachniały macierzanką i liśćmi orzecha — wonią tych samych odwarów, którymi Magda tak chętnie zmywała swe długie, czarne włosy. Nie ulegało wątpliwości: to był jej pożar.

Jak pędzony przez furję, rzucił się w wąski korytarz na prawo, skąd dochodziły go jęki. Lecz tu u wylotu zastąpiło mu drogę czerwone widmo dziewczki. Była wysoka nad miarę ludzką, wyolbrzymiała jakaś, potworna i potrząsała w ręce trzymanym ognistym strąkiem.

Zasłonił się przed nią wyciągniętym ramieniem i dygocąc na całym ciele, zapytał chrapliwie:

— Czego chcesz ode mnie?

W odpowiedzi zagrał jej na ustach okrutny uśmiech i spłynął strugą ognia po płomiennych jagodach. Podniosła ognisty swój strąk i zagroziła nim przejście.

— Z drogi! — krzyknął obłąkany ze strachu i gniewu. — Z drogi, Magda!

I przeszedł przez nią jak przez purpurową mgłę. Zapięło go coś tylko okropnie na rękach i szyi, że syknął z bólu. Lecz przedarł się.

W następnej chwili już wynosił na rękach jakąś staruszkę i siadłszy okrakiem na oknie, podawał ocaloną jednemu ze strażaków na drabinie.

Tymczasem inni spuszczaali mieszkańców w dół na płachtach lub co silniejszych, zwłaszcza mężczyzn w krzesłach ratunkowych, związanych naprędce ze sznurów i linówek; kilku odważniejszych skoczyło wprost na rozpostarte w dole koce. Pozostało jeszcze ostatnie piętro. Mimo wysiłków strażaków, pożar podniecany piekielnym wichrem opanował już cały dom i sięgał triumfalnie ponad dach.

Szponar dwoił się i troił. Był wszędzie. Jak demon zbawienia miotał się w największy ogień, z pogardą życia bez granic zawisał nad przepaścią, jak linoskoczek wahał się co chwila między niebem, a ziemią. Własnoręcznie wyniósł z płomieni dwadzieścia osób, ocalił z niebezpieczeństwa życia dwóch kolegów, zabezpieczył odwrót kilku innym. Lecz ciągle, bez przerwy prześladowało go widmo czerwonej dziewczki, drażniła woń ognistych jej włosów. Tu wynurzała się jej twarz z mgławicy dymów, tam przesuwiała się jej krwawa postać na tle walącego się w dół ganku, ówdzie powiewały mietlicą¹⁵ iskier jej piekielne warkocze.

Nie zważał na nic i opancerzony w stal żelaznej woli, spełniał po bohatersku swój obowiązek, aż nadeszła chwila najstraszniejszej próby.

O ocaleniu domu nie mogło już być mowy; poprzepalane

¹⁵ *mietlica* – tu: ogon komety.

belki wyższych pięter waliły się z łoskotem w dół, podziurawiane jak rzeszota sufity zapadały się z głuchym rumorem. Mała garstka mieszkańców z trzeciego piętra skupiła się w jednym z okien na prawem skrzydle na poły objętym przez pożogę: dwóch starców, jakiś chory kaleka i młoda matka z niemowlęciem przy piersi.

Strażacy pod przewodnictwem sierżanta przypinali pośpiesznie wór ratunkowy, którym miano spuszczać tych najniebezpieczniejszych na ziemię.

Wtem rozległ się spazmatyczny krzyk kobiety z okna. Nieszczęśliwa, przytrzymując lewym ramieniem płaczące dziecko, wskazywała drugą ręką poza siebie na zbliżające się z przerażającą chyżością kotłowisko płomieni z głębi pokoju. Gryzący dym w żółtych, skędzierzawionych kłakach przykrył na moment tragiczną grupę.

Gdy w chwilę potem wiatr odgarnął tę duszną zasłonę, ujrzał Szponar ścinający krew w żyłach obraz.

Przez okno przegięła się węzowym przegubem Czerwona Magda i ognistym swym żegadłem usiłowała podpalić rozpięty już wór ratunkowy. Szatański uśmiech igrał na wargach dziewczki, piekielna radość rozświecała twarz w okolu żarem zionących włosów. Zjadliwe żądło już, już dosięgało płótna...

— Jezusie, Mario! — jęknął Szponar. — Giń, maro!

I zakreśliwszy w powietrzu znak krzyża, rzucił w nią toporkiem.

Cios trafił w czoło. Rozległ się okropny skowyt i długie, przeciągłe wycie.

Czerwone widmo cofnęło się skwapliwie w głąb domu i wsiąkło bez śladu.

Sierżant powiódł ręką po czole i spojrzął wkoło błędnymi oczyma.

Coś się w nim nagle załamało; nie miał już sił do dalszej

akcji. Wyręczyli go towarzysze.

Pożar nagle jakby przygasł, skurczył się, ustępował; sikawki wzięły nareszcie górę. Wśród deszczu rozpylonej ich paszczami wody spokojnie już spuszczo no worem na dół ostatnich mieszkańców.

Szarzało na niebie, gdy umęczeni śmiertelnie, czarni od dymu i kopci u pożarnicy zes zli po drabinach na ulicę. Chwiejnym krokiem zamykał ich pochód sierżant, Piotr Szponar...

Nagle doszły go jakieś okrzyki. Z tłumu zgromadzonego pod spalonym domem padło niespodzianie okropne przezwisko:

— Czerwona Magda! Czerwona Magda!

Machinalnie rzucił się pomiędzy ludzi.

— Rozstąpić się! Rozstąpić się! To jej ojciec!

I utworzył się długi, męczący szpaler aż do zwęglonej bramy wchodowej kamienicy.

Strażak przeszedł jak pijany ten szpaler, siepany biczeniami spojrzeń i skręcił bezwiednie na lewo, do jakiejś małej stacyjki cudem ocalałej z pożaru. Tu w kącie na lichym barłogu ujrzał w kałuży krwi zwłoki swej córki; z okrutnie rozwalonej czaszki sączyła się czarna, na pół już zakrzepła posoka.

— Magduś! Magduś moja! — zakrakał jakimś nieludzkim głosem.

I zatoczył się nieprzytomny pod ścianę.



Edgar Allan Poe

CZARNY KOT

Tłumaczył Bolesław Leśmian

Nie spodziewam się i nie wymagam wiary dla wielce dziwnej i wielce skądinąd poufnej opowieści, którą chcę pismem utrwalić. Byłbym, doprawdy, szaleńcem, gdybym się tego spodziewał w chwili, gdy własne moje zmysły odmawiają mi swego świadectwa. Szaleńcem jednak nie jestem i mam zupełną pewność, że nie mającą. Przecież jutro umieram, dziś tedy pragnąłbym ulżyć swej duszy spowiedzią.

Moim zamiarem bezpośrednim jest jasne, treściwe i bezstronne podanie do wiadomości powszechnej szeregu nagich zdarzeń z zakresu życia domowego. Zdarzenia owe w swych skutkach przeraziły mnie wzięły na męki, zniszczyły. Mimo to nie będę próbował wyświećlenia ich istoty. Dla mnie osobiście ukazały się od strony przerażenia wiele osób ujrzy w nich mniej zgrozy, więcej baroku. Kiedyś, być może, znajdzie się umysł, który zmorę moją sprowadzi do poziomu zjawisk oklepanych umysł pogodniejszy, logiczniejszy i o wiele mniej od mego płomienny, który w wypadkach

ze zgrozą przeze mnie głoszonych wykryje jeno zwykłą następcość przyczyn i skutków, niezmiernie zgodnych z łaodem codziennym. Od dziecka zdradzałem miękkość i ludzkość uczuć. Tkliwość mego serca była tak znamienna, że dzięki niej stałem się kozłem ofiarnym mych kolegów. Szczególniej przepadałem za zwierzętami i za zgodą rodziców posiadałem wielce różnorodny zespół ulubieńców. Cały niemal czas spędzałem w ich towarzystwie i nigdy nie czułem się tak szczęśliwy, jak wówczas, gdy je darzyłem pokarmem i pieśczoą.

Ta osobliwość mego przyrodzenia wzrastała wraz z wiekiem i gdym zmężniał, stąd głównie czerpałem moje uciechy. Tym, którzy darzą uczuciem wiernego i zmyślnego psa, nie mam potrzeby tłumaczenia istoty i stopnia zadowoleń płynących z owego źródła.

W bezinteresownej miłości zwierzęcia, w jego nieszczędnym własnego życia poświęceniu tkwi coś, co bezpośrednio porusza serce ludzi, którzy częstokroć mieli sposobność stwierdzenia wątlej przyjaźni i słomianej wierności człowieka w oryginale. Ożeniłem się wcześniej i z radością wykryłem w żonie mej zgodność upodobań. Zauważywszy mój pociąg do tych domowych pieśczołów, nie przeoczyła nigdy sposobności dostarczenia mi okazów najbardziej uroczych. Mieliśmy ptaki, rybę złotą, pięknego psa, króliki, małą małpkę i kota.

Ten ostatni był okazem zastanawiająco krzepkim i wspaniałym, całkowicie czarnego futra i przedziwnej zmyślności. Mówiąc o jego inteligencji, żona moja, nie pozbawiona w głębi duszy zabobonów, częstokroć napomykała o rozpowszechnionym w starożytności wierzeniu, które we wszystkich czarnych kotach widziało przerzucone czarownice. Nie znaczy to wszakże, aby zawsze w takich razach zachowywała powagę, i jeśli czynię ową wzmiankę, czynię ją po prostu dlatego, że w tej właśnie chwili przyszła mi do głowy.

Pluton — tak się nazywał kot — był moim ulubieńcem, moim towarzyszem. Sam osobiście podawałem mu pokarm — włóczył się za mną wszędzie, gdziekolwiek poszedłem. Nie bez trudności wymogłem na nim posłuszeństwo zakazowi włóczenia się za mną po ulicach. Przyjaźń nasza trwała w tym stanie lat kilka, w którym to czasie całokształt mego charakteru i usposobienia pod wpływem demona niewstrzemięźliwości — rumienię się na owo wyznanie — uległ zasadniczym zmianom na gorsze. Z dnia na dzień stawałem się coraz pochmurniejszy, coraz skorszy do gniewów, coraz obojętniejszy na uczucia innych ludzi. Pozwalałem sobie na używanie słów grubiańskich w stosunku do mojej żony. W końcu, gwałciłem nawet nietykalność jej osoby. Zmiana mego usposobienia, ma się rozumieć, dała się we znaki moim nieszczęsnym ulubieńcom. Nie tylko ich zaniedbywałem, lecz i dręczyłem. Wszakże, co do Plutona, miałem dla niego sporo jeszcze względów, które mi wzbraniały złego z nim obejścia, podczas gdy nie doznawałem żadnych skrupułów w dręczeniu królików, mały, a nawet psa, jeśli przypadkowo lub przyjaźnie stawały mi na drodze. Jednak zło moje coraz bardziej zuchwaliło się we mnie — któreż bowiem zło dorówna alkoholowi! i wreszcie sam Pluton, który obecnie starzał się i, co idzie za tym, nieco zeszkaradniał — sam Pluton zaczął wyczuwać skutki znikczemnienia mego charakteru.

Pewnej nocy, gdy powróciłem do domu z jednej nałogowo przeze mnie odwiedzanej nory zamiejskiej, uroiłem sobie, iż kot unika mojej obecności. Schwyciłem go za kark, on zaś, spłoszony moją przemocą, z lekka poranił mi zębami rękę. Owładnęła mną nagle wściekłość demona. Straciłem przytomność. Zdawało się, iż duch mój przyrodzony znieacka wymknął mi się

z ciała i przepojona ginem¹, nadszatańska złość przenikła każde włókno mej istoty. Z kieszeni kamizelki wyszarpnąłem szczyryk i otworzyłem. Porwałem biedne zwierzę za gardło i śmiało wyważyłem mu z orbity jedno ślepie! Rumienię się, płonę od wstydu, drżę, opisując to piekła godne okrucieństwo!

Gdy ze świtem rozum odzyskałem gdy wytchnąłem czad mej hulaszczej nocy doznałem z powodu popełnionej zbrodni uczucia, które było na wpół zgrozą, a na wpół wyrzutem sumienia, lecz było to co najwyżej słabe i niewyraźne uczucie i duch mój nie ukorzył się przed owym ciosem. Oddałem się ponownie swym chuciom² i wkrótce zatopiłem w winie wspomnienie mego czynu.

Tymczasem kot powoli wracał do zdrowia. Orbita pozbawiona ślepią miała wprawdzie pozór³ straszliwy, lecz kot zdawał się już nie cierpieć. Swoim zwyczajem chodził tam i z powrotem po pokoju, wszakże, jak winienem był tego oczekiwać, za moim zbliżeniem się uchodził z najwyższą trwogą. Dość mi jeszcze pozostało z mych dawnych uczuć, aby początkowo doznać goryczy na widok tak jawnej odrazy ze strony stworzenia, które mnie niegdyś tak miłowało. Owo jednak uczucie ustąpiło wkrótce gniewowi i wówczas, jakby dla ostatecznego i nieodwołalnego pchnięcia mnie do upadku, zjawił się duch przekory. Filozofia nie zdaje sobie żadnej z tego ducha sprawy. A jednak wierzę w to święcie, jak w istnienie własnej duszy, że przekora jest jednym z pierwotnych popędów ludzkiego serca, jedną z niepodzielnych, pierwiastkowych władz lub uczuć, które nadają kierunek charakterowi danego człowieka.

Któż, popełniając czyn niedorzeczny lub nikczemny, nie dziwił się po stokroć tej prostej oczywistości, iż wiedział, że

¹ *gin* (ang.) – wódka angielska o smaku i zapachu jałowca.

² *chuć* – pożądanie seksualne, tutaj: nałóg.

³ *pozór* – dawniej wygląd, współcześnie łudzące wrażenie; zob. na pozór, pod pozorem, z pozoru.

winien go był nie popełniać? Czyż pomimo doskonałości naszego rozsądku nie mamy nieustannych zakusów do naruszania tego, co jest prawem, dla tej po prostu przyczyny, iż wiemy właśnie, że jest to prawo? Powtarzam — ów duch przekory przyczynił się do ostatecznego mego upadku.

Ten to żarliwy, niezgłębiony popęd duszy ku dręczeniu siebie samej, ku gwałceniu własnej natury, ku złoczyńczeniu dla samej miłości złego, skłonił mnie do snucia w dalszym ciągu i ostatecznie do całkowitego wypełnienia męczarni, którą zgotowałem bezbronnemu zwierzęciu.

Pewnego poranka z zimną krwią zadzierzgnąłem wokół szyi kota pętlicę i powiesiłem go na gałęzi drzewa. Powiesiłem ze łzami w oczach, z najsroźszymi wyrzutami sumienia. Powiesiłem ponieważ wiedziałem, że mnie kochał i ponieważ czułem, że nie dał mi żadnego do gniewu powodu. Powiesiłem, ponieważ wiedziałem, że, czyniąc tak, popełniam grzech, grzech śmiertelny, który hańbi nieśmiertelną duszę moją aż do stopnia wyświecenia jej, jeśli to jest możliwe, poza obręby nieskończonego miłosierdzia wszechmiłosiernego i wszechstrasliwego Boga. W nocy, która nastąpiła po dokonaniu owego okrutnego czynu, zbudził mnie ze snu okrzyk: Pożar! Kotary mego łóżka były w ogniu. Dom cały płonął. Kosztem niemałych wysiłków uszliśmy płomieniom — moja żona, służący i ja. Ruina była doszczętna. Pożar pochłoniął wszystką moją fortunę i odtąd oddałem się rozpacz.

Nie pragnę nawiązać łańcucha przyczyn i skutków pomiędzy mym okrucieństwem a klęską jestem wyższy ponad tego rodzaju słabostki.

Lecz zdaję sobie sprawę z łańcucha zdarzeń i nie chcę przeoczyć ani jednego ogniwa. Odwiedziłem zgłiszcza w dniu, który nastąpił po pożarze. Mury z wyjątkiem jednego

runęły, zaś ów jedyny wyjątek był właśnie przepierzeniem wewnętrznym, niezbyt grubym, położonym mniej więcej w miejscu, na którym wspierało się wezglowie mego łóżka. Większość muru w tym miejscu oparła się działaniu ognia — wypadek, który przypisywałem świeżo wykonanej odnowie. Wokół tego muru zgromadził się tłum gęsty, a ci i owi szczegółowo i z ożywieniem zdawali się badać upatrzony jego zakątek.

Wyrazy: dziwne, szczególne i tym podobne okrzyki wzmożyły moją ciekawość. Zbliżyłem się i ujrzałem, niby płaskorzeźbę wypukloną na białej powierzchni, postać gigantycznego kota.

Kształt jego był odtworzony z czarodziejską zaiste ścisłością. Na szyi zwierzęcia zwiślał powróż.

W pierwszej chwili, gdym zjaw⁴ ów oglądał — mogłem to bowiem tylko za zjaw uważać — zdumienie moje i przestrach nie miały granic. Lecz rozum przyszedł mi wreszcie z pomocą. Kot, pamiętałem to dobrze został powieszony w przyległym budynkowi ogrodzie. Na okrzyk trwogi tłum niezwłocznie wtargnął do ogrodu i zapewne znalazł się ktoś, kto kota od drzewa odczepił i przez otwarte okno wrzucił do mego pokoju. Uczyniono to niewątpliwie w celu zbudzenia mnie ze snu. Brzemię innych murów zasklepiło ofiarę mego okrucieństwa w miazdze świeżych pokładów gipsu. Wapno tego muru, przesycone płomieniem padliny, utworzyło podobiznę taką, jaką właśnie oglądałem.

W ten sposób wobec dziwnego a opisanego powyżej trafu jeśli nie ukoilem całkowicie sumienia, zaspokoilem zdawkowo mój rozum, mimo to wszakże traf ów głęboką bruzdą wyrył się w mej wyobraźni. Przez kilka miesięcy nie mogłem się pozbyć zmory kociej i w tym okresie ponownie zakradło się do mej duszy półuczucie, które miało pozory wyrzutu sumienia, lecz

⁴ *zjaw* (rodzaj męski) – poprawnie *zjawa* (rodzaj żeński).

nim nie było. Posunąłem się aż do oplakiwania straty zwierzęcia i do poszukiwania wszędy w najnikczemniejszych zakamarkach, które obecnie odwiedzam nałogowo, innego ulubieńca tegoż gatunku i pozorów mniej więcej podobnych, aby mieć zastępcę.

Pewnej nocy, gdy na wpół obłądnie siedziałem w jednej bardziej niż zatraconej norze, uwagę moją przykuł nagle przedmiot czarny tkwiący na wierzchu jednej z olbrzymich beczek ginu czy też rumu, które stanowiły główną ozdobę sali. Od kilku minut przyglądałem się uporczywie górnemu dnu tej beczki, a obecnie zdziwiła mnie przede wszystkim ta okoliczność, że dotąd nie spostrzegłem tkwiącego na nim przedmiotu. Zbliżyłem się i zmacałem go dłonią. Był to kot czarny, bardzo duży kot, pojemności co najmniej Plutona, podobny doń bezwzględnie, z wyjątkiem jednej różnicy. Pluton na całym ciele nie miał ani jednego białego włosa; ten zaś był posiadaczem szerokiej i białej, aczkolwiek nieokreślonego kształtu pręgi, która przysłaniała cały niemal zakres piersi.

Zaledwo go dotknąłem, powstał nagle, zamruczał głośno, otarł się o moją dłoń i zdawał się wyrażać swój zachwyt z powodu okazanych mu przeze mnie względów. Był to właśnie ów wierny okaz, którego poszukiwałem. Natychmiast zaofiarowałem się właścicielowi z kupnem tego kota, lecz ten nie uznał w nim swojej własności, nie znał go, nigdy go dotąd nie widział. W dalszym ciągu darzyłem go pieśczoćtami i gdy zamierałem wrócić do domu, zwierzę wykazało chęć towarzyszenia mej osobie. Pozwoliłem mu iść za sobą i, schylając się od czasu do czasu, głaskałem je mimochodem. Wszedłszy do domu, zachował się jak na swych własnych śmieciach i natychmiast zapłonął wielką przyjaźnią do mej małżonki.

Co do mnie, poczułem wkrótce rodzącą się w mej duszy odrazę do niego. Był to skutek wprost przeciwny spodziewanemu przeze mnie. Nie wiem jak i dlaczego się to stało, lecz jego

widoczna dla mnie czułość napawała mnie niemal wstrętem i nudy. Z wolna i stopniowo uczucia wstrętu i nudy wezbrały aż po gorzki kres nienawiści. Unikałem zwierzaka. Niejasne poczucie wstydu i wspomnienie pierwszego czynu okrucieństwa wzbraniały mi dręczenia tego zwierzęcia. Przez kilka tygodni powściągałem się od bicia kota lub od popędliwych względem niego postępków, jednak stopniowo, nieznacznie zacząłem nań poglądać z niewysłowionym przestraczem, i milcząc uchodzić przed jego nienawistną obecnością, jak przed podmuchem dżumy. Do mej nienawiści dla zwierzęcia przyczyniło się niewątpliwie odkrycie, którego dokonałem rankiem, nazajutrz po sprowadzeniu go do domu, a mianowicie, tak samo, jak Plutonowi, brakowało mu jednego ślepia. Z tego wszakże powodu zwierzę nabrało jeno tym większej wartości w oczach mojej żony, która, jak już wspominałem, w wysokim stopniu posiadała tkliwość serca, stanowiącą niegdyś moją cechę charakterystyczną oraz częstokroć źródło najprostszych i najczystszych radości.

Wszakże przywiązanie do mnie kota wzrastało na przekór mej do niego odrazy. Chodził krok w krok za mną z uporem, który trudno by było przekazać zrozumieniu czytelnika.

Ileokroć siadłem, zwijał się w kłębek pod moim krzesłem lub wskakiwał mi na kolana, obdarzając mnie straszliwymi pieszczołami. Jeśli powstawałem z siedzenia, wściubiał mi się między nogi i przyprowadzał mnie niemal o upadek lub, zanurzając w mym ubraniu długie i ostre pazury, wpełzał mi tym sposobem aż na piersi. W takich chwilach, pomimo żądy zabicia go na miejscu, hamowałem się po części na skutek wspomnienia mojej pierwszej zbrodni, lecz głównie — muszę to wyznać co prędzej — z powodu rzetelnego przed zwierzęciem strachu.

Strach ów nie był właściwie obawą bólu fizycznego, a jednak znalazłem wielkie przeszkody do określenia go w sposób

inny. Ze wstydem niemal wyznaję — tak, nawet w tej celi zbrodniarza wyznaję niemal ze wstydem, że strach i przerażenie, którymi nappełniało mnie zwierzę, wzrosły dzięki jednej z najwierutniejszych mrzonek, na jakie tylko zdobyć się można. Żona moja nieraz zwracała mi uwagę na zarys białej pręgi, o której mówiłem, a która stanowiła jedyną widomą różnicę pomiędzy tym dziwnym a owym zamordowanym przeze mnie okazem. Czytelnik bez wątpienia przypomina sobie, iż owa oznaka, mimo sporych rozmiarów, miała pierwotnie kształt nieokreślony, lecz z wolna, w miarę stopniowań niepochwytłych stopniowań, w których mój rozum przez czas długi chciał się koniecznie dopatrzeć urojeń, nabrała wreszcie nieodpartej jasności zarysów. Stała się teraz odwzorem przedmiotu, którego nie mogę bez zgrozy nazwać po imieniu, a tu właśnie i tu przede wszystkim taίło się to, co mnie zmuszało do powzięcia strachu i wstrętu względem potwora i co skusiłoby mnie do pozbycia się go na zawsze, gdybym miał śmiałość po temu. Obecnie — powtarzam — była to podobizna ohydneho, złowieszczego narzędzia, podobizna szubienicy. O, grobowe i straszliwe narzędzie! Narzędzie zgrozy i zbrodni, agonii i śmierci!

Byłem oto zaiste nieszczęśliwy ponad miarę nieszczęścia dostępnego człowiekowi. Bydlę przyziemne, którego brata zniestwiłem wzgardliwie, bydlę przyziemne zgotowało dla mnie, dla mnie, istoty stworzonej na wzór i podobieństwo Boga najwyższego, klęskę tak wielką i tak ponad siły! Niestety, ni dniem, ni nocą nie zaznałem odtąd słodczy spoczynku! Dniem zwierzę nie opuszczało mnie ani na mgnienie, a nocą, co chwila, po to się jeno budziłem z niewypowiedziane trwożnych snów, aby wyczuwać na twarzy ciepły oddech owej namacalności i jej wiekuiście utrwalane na mym sercu niepomierne brzemię — wcielenie zmory, z której nie mogłem się otrząsnąć! Pod uciskiem takich męczarni

źdźbło pozostałych we mnie dobrych uczuć szczęło. Złe tylko myśli poufaliły się z mym duchem, najmroczniejsze i najnikczemniejsze ze wszystkich myśli. Właściwa memu usposobieniu pojęność urosła aż do rozmiarów nienawiści dla wszelkiej rzeczy i wszelkiej istoty ludzkiej. Tymczasem żona moja, która się nigdy nie skarżyła, stała się, niestety, moim codziennym kozłem ofiarnym, najcierpliwszym łupem nagłych, częstych i nieposkromionych wybuchów nienawiści, której się odtąd oddawałem na oślepe. Pewnego dnia, z powodu jakiejś domowej potrzeby, towarzyszyła mi w zejściu do piwnic starego domostwa, gdzie zamieszkaliśmy pod musem nędzy. Kot szedł za mną po stromych stopniach schodów i, na wstępie, omal nie wyróciwszy mnie na głowę, rozjątrzył mój gniew aż do obłędu. Uniósłszy topora i zapomniawszy w mej wściekłości dziecinnego strachu, który dotąd dłoń moją hamował, wymierzyłem w zwierzę cios, który byłby śmiertelny, gdyby padł jakom chciał. Wszakże cios ów powściągnęła dłoń mej żony. To pośrednictwo podjudziło mnie aż do szatańskich rozścierwień⁵. Wyszarpnąłem dłoń z jej uścisku i zanurzyłem topór w jej czaszce. Padła trupem na miejscu, nie wydawszy jęku.

Spełniwszy tę zbrodnię straszliwą, natychmiast i z wielką przytomnością umysłu zakrzętnąłem się dokoła ukrycia zwłok. Zmiarkowałem, że ani w dzień ani w nocy nie zdołam wynieść ich z domu, nie narażając się na niebezpieczeństwo zwrócenia bacności sąsiadów. Kilka pomysłów przemknęło mi przez głowę. Była chwila, że zamierzyłem pokrajać ciało na drobne kawałki i zniszczyć je ogniem. Potem postanowiłem wyłobić jamę w gruncie piwnicznym. Potem chciałem wrzucić ciało do studni podwórzowej, potem zapakować je do skrzyni, niby towar

⁵ rozścierwić się – nabrać cech ścierwa, czyli kanalii, drania.

na sprzedaż, z przestrzeżeniem wszelkich stosownych pozorów i polecić posłańcowi, aby je wyniósł gdzieś na miasto. Ostatecznie zatrzymałem się na pomysśle, który, moim zdaniem, był najlepszy ze wszystkich. Zdecydowałem się zamurować je w piwnicy na wzór mnichów średniowiecznych, którzy podobno zamuroywali swe ofiary.

Piwnica bardzo odpowiadała wykonaniu podobnego zamiaru. Mury były zbudowane niedbale i świeżo powleczone grubym pokostem tynku, któremu wilgoć atmosfery nie dała stwardnieć. Ponadto w jednym z murów tkwił występ, utworzony ślepym kominkiem czy też rodzajem jaskini, pokostowanej i murowanej tak samo, jak reszta piwnicy. Nie wątpiłem, iż uda mi się z łatwością wyważyć w tym miejscu cegły, wtłoczyć tam ciało i zamurować wszystko w taki sposób, ażeby niczyje oko nie zdołało wykryć nic podejrzanego.

I nie pomyliłem się w mych rachubach. Z pomocą obcęgów, bez żadnego trudu, wyszarpnąłem cegły i, starannie przystosowawszy zwłoki do wewnętrznego muru, utrzymałem je w tym położeniu aż do chwili, gdy całemu obmurowaniu przywróciłem pozór pierwotny. Zaopatrzywszy się ze wszelkimi możliwymi środkami ostrożności w zaprawę wapienną, piasek i szczerk, urobiłem tynk, którego nie można było odróżnić od dawnego, i bardzo pilnie powlokłem nim nowo powstały mur. Dokonawszy pracy, zauważyłem z zadowoleniem, iż wszystko udało się jak najlepiej. Mur nie zdradzał najmniejszych śladów uszkodzenia. Z największą starannością usunąłem wszelki gruz, odarłem — że tak powiem — ziemię ze skóry. Z triumfem rozglądałem się na okół i mówiłem sam do siebie: „Tu przynajmniej trud mój nie pójdzie na marne”.

Pierwszym moim odruchem było wypatrzenie zwierzęcia — przyczyny tak wielkich nieszczęść, gdyż w końcu

postanowiłem nieodwołalnie pokarać je śmiercią. Gdybym je w tej chwili przyłapał, los jego byłby rozstrzygnięty. Lecz zmyślne zwierzę zląkło się snadź wybuchów mego przed chwilą gniewu i postarało się o to, aby nie napatoczyć mi się na oczy w obecnym stanie mego usposobienia. Ani opisowi, ani wyobrażeniu nie podda się głębokie i błogie uczucie ulgi, którą nieobecność nienawistnego zwierzaka wytworzyła w mym sercu. Nie zjawił się przez noc cała, a przeto, od czasu sprowadzenia go do domu, była to pierwsza dobra noc, gdy zasnęłam krzepkim i spokojnym snem. Tak, wyspałam się współ z ciężką zmorą zbrodni w duszy!

Przeminął drugi i trzeci dzień, a kot mój nie powracał. Raz jeszcze westchnąłem jak wyzwoleniec. Potwór, gnany przestracchem, opuścił te miejsca raz na zawsze! Nigdy go już nie zobaczę!

Wesele moje nie miało granic! Zbrodniczość potajemnego czynu niepokoiła mnie aż nazbyt niewiele. Dokonano dokładnie jakiegoś tam badania, lecz zaspokojono się byle czym. Zarządzono nawet śledztwo, które, ma się rozumieć, nic wykryć nie mogło. Uważałem moją przyszłą szczęśliwość za pewnik. Na czwarty dzień po zabójstwie gromada agentów policyjnych wkroczyła do domu i ponownie dokonała dokładnego przeglądu miejsca zbrodni. Ufny wszakże w niedostępność skrytki, nie doznałem żadnego niepokoju. Urzędnicy zniewolili mnie do towarzyszenia im w ich poszukiwaniach. Nie pominęli badaniem ani jednego zakrętu, ani jednego kąta. Wreszcie po raz trzeci czy czwarty zeszli do piwnicy. Żaden muskuł nie drgnął mi na twarzy. Serce moje uderzało spokojnie jak serce nowo narodzonego. Szerokim krokiem zmierzyłem piwnicę od końca do końca, skrzyżowałem dłonie na piersi i z ochotą przechadzałem się tu i tam. Policja była najzupełniej zadowolona i sposobila się do wyjścia. Radość mego serca była zbyt wielka, abym podołał jej stłumieniu. Pałałem żądzą uronienia choćby jednego słówka, jednego tylko słówka, aby

w ten sposób zatriumfować i podwoić ich przekonanie o mojej niewinności.

— Panowie — rzekłem wreszcie, gdy społem wchodzili na schody — jestem oczarowany tym, że uciszyłem wasze podejrzenia. Życzę wam wszystkim pomyślnego zdrowia i nieco większych zasobów ugrzecznienia. Mimochodem, panowie, dorzucę, iż oto — oto przed wami dom krzepko zbudowany (pod wpływem rozjuszonej żądy wygłoszenia czegokolwiek z miną zuchwałą zaledwo wiedziałem, co mówię). Mogę twierdzić, iż jest to dom przedziwnie krzepko zbudowany. Te mury — czy odchodzicie, panowie? — te mury są szczelnie spojone!

I tu przez rozszalałą do obłądu przekorność uderzyłem z mocą łaską, którą miałem w ręku, akurat po tej części muru, kędy tkwił trup wybranki mego serca.

O! Niechże przynajmniej Bóg ma mnie w swej opiece i niech mnie broni przed pazurami arcydemonia! Zaledwo echo mych uderzeń rozległo się w ciszy, a jakiś głos odpowiedział mi z wnętrza grobu. Początkowo była to skarga stłumiona i przerywana jak szloch dziecięcy, który wkrótce potem wezbrał w krzyk przeciągły, donośny i nieprzerwalny, zgoła przeciwny wszelkiemu przyrodzeniu i nieludzki, w wycie i skomlenie, na wpełne zgrozy, a na wpeł triumfu, jakie może się wyłonić jeno z czeluści piekieł — potworne pianie, wydzierające się jednocześnie z krtani męczonych skazańców i z gardzieli demonów zdjętych weselem potępienia!

Byłaby szaleństwem próba wysłowienia tego, co się działo we mnie. Uczułem, że tracę zmysły i chwiejnym krokiem dobrnąłem do przeciwległego muru.

Przez mgnienie urzędnicy, stojąc na schodach, trwali nieruchomi, drętwi od przerażenia. W chwilę potem tuzin rąk mocnych wściekłym rzutem dopadł do muru. Mur runął

jak jeden strzęp. Ciało, już sporo napoczęte rozkładem i poplamione skrzepłą krwią, stało sztywnie przed oczyma widzów. Na jego głowie z krwawą, na oścież rozwartą paszczą i z jedynym skrzącym się ślepiem, gnieździło się wstrętne zwierzę, którego podstęp zniewolił mnie do zbrodni, a którego głos zdradziecki wydał mnie w ręce kata. Zamurowałem potwora w mogilnej wnęce!

Arthur Conan Doyle

GARBUS

Tłumacz nieznan

Było to w kilka miesięcy po moim ożenieniu się. Pewnego letniego wieczora siedziałem późno w nocy w moim gabinecie, paląc fajkę i nudząc się nad jakimś angielskim romansem. Cały dzień przepędziłem wśród wytężającej pracy, mimo to jednak nie byłem jeszcze senny. Moja żona udała się już na spoczynek, także służba, zwolniona od zajęć, znajdowała się już u siebie. Prawie wstałem, aby wytrząsnąć popiół z fajki i nałożyć na nowo tytoniu, gdy nagle rozległ się głos dzwonka u drzwi wchodowych.

Spojrzałem na zegar, prawie dochodziła godzina dwunasta. Trudno było przypuścić, aby ktoś jeszcze o tej porze przybywał w odwiedzin, raczej chciano mnie wezwać do jakiegoś chorego. Wydłużyła mi się mina, bo po całodziennym trudzie nie była to zbyt zachęcająca perspektywa. Ale mimo to zszedłem na dół i otworzyłem bramę. Ku mojemu niezmiernemu zdziwieniu ujrzałem Sherlocka Holmesa.

— Ach, więc jesteś w domu, drogi Watsonie — rzekł

Holmes. — Przychodzę wprawdzie późno, ale widocznie nie za późno, skoro jesteś jeszcze ubrany.

— Proszę cię, chodź dalej. Bardzo się cieszę.

— Byłeś zdziwiony, widząc mnie, ale zdaje się, przyjemnie zdziwiony. Hm, ciągle jeszcze palisz ten sam gatunek tytoniu, co za kawalerskich czasów. Ta odrobina popiołu na twoim rękawie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Czy możesz mnie przenocować u siebie?

— Z przyjemnością.

— Mówiłeś mi kiedyś, że wasz pokój gościnny jest zawsze w pogotowiu, a widzę, że obecnie nie masz u siebie nikogo, bo na wieszadłach wisi tylko jeden kapelusz.

Podałem mu tytoń. Usiadł naprzeciwko mnie i przez chwilę w milczeniu puszczał kłęby dymu przed siebie. Wiedziałem dobrze, że tylko bardzo ważna sprawa mogła go sprowadzić do mnie o tej porze, lecz czekałem cierpliwie, póki sam nie uzna za stosowne wtajemniczyć mnie w swe zamiary.

— Jak widzę, masz obecnie sporo zajęcia — rzekł, mierząc mnie bacznie spojrzeniem.

— Tak jest, dzisiaj zwłaszcza miałem sporo roboty — odparłem — ale skądże ty możesz o tym wiedzieć.

Holmes uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Znam przecie twoje nawyczki, drogi Watsonie. Jeżeli masz tylko niewielką drogę przed sobą, idziesz piechotą. Gdy czeka cię wiele interesów, bierzesz dorożkę. A widzę również, że buty twoje noszą ślady używania, lecz nie są zabłocone. Stąd naturalny wniosek, że musiałeś jeździć dorożką, czyli innymi słowy miałeś wiele zajęcia.

— Wybornie — zawołałem.

— Po prostu — odpowiedział — to tylko mały przykład, jak za pomocą wnioskowania dojść można do wyników, które

zaskiwają słuchacza, jeżeli ten lub ów szczegół całości pominie się milczeniem. Zawsze trzeba znaleźć tylko te powiązania psychologiczne, a sprawa staje się jasna. Ale nie zawsze się to udaje. Ot, w tej chwili ja znajduję się w takim położeniu. Trzymam w rękę rozmaite nici niezmiernie niezwyklej sprawy, nad którą niejedyn człowiek dobrze łamałby sobie głowę. Niestety brakuje mi kilku takich węzłów i ani rusz nie mogę zorientować się jasno w całości. Ale muszę je znaleźć, Watsonie, muszę związać tę przerwana nić, dojść aż do kresu.

Oczy Holmesa zabłysnęły ogniem, wychudłe policzki zaróżowiły się lekko. Na krótką chwilę podniosła się zasłona, zakrywająca zawsze jego wewnętrzną istotę, myśli i pragnienia; przejawiała się jego prawdziwa natura, namiętna, niezmiernie wrażliwa. Ale gdy drugi raz spojrzałem na niego, rysy twarzy były już nieruchome, twarde, niby oblicze jakiegoś Indianina, nieprzeniknione, obojętne. To był zwyczajny wyraz jego twarzy, który powodował, że większość ludzi, znających Holmesa, widziała w nim tylko maszynę raczej, niż myślącego, czującego człowieka.

Problem, jakim się obecnie zajmuję — mówił dalej Holmes — wydaje mi się wcale zajmujący. Niektóre szczegóły są nawet naprawdę niezwykle. Wytworzyłem sobie już pewne zdanie o tej sprawie i zdaje mi się, że posunąłem się znacznie ku rozwiązaniu. Gdybyś chciał mi być pomocnym przy ostatniej mojej próbie, wyświadczyłbyś mi wielką przysługę.

— Ależ bardzo chętnie.

— Czy mógłbyś jutro rano udać się ze mną do Aldershot?

— Owszem. Jakson zastąpi mnie u moich chorych.

— W takim razie odjedziemy ze stacji Waterloo o godzinie jedenastej dziesięć.

— Dla mnie zupełnie odpowiednia pora.

— Jeżeli nie jesteś jeszcze bardzo znużony, w takim razie już

teraz opowiem ci dokładnie o wszystkim, co zaszło i co pozostaje jeszcze do zrobienia.

— Byłem zmęczony, zanim przyszedłeś, ale teraz czuję się zupełnie rześki.

— Będę się streszczał, o ile to będzie możliwe i przedstawię ci tylko najistotniejsze szczegóły. Być może zresztą, że czytałeś już w pismach o tym wypadku. Zwykle interesujesz się tymi kwestiami. Chodzi tu o śmierć pułkownika Barclaya z 117 pułku, stojącego załogą w Aldershot. Miał on zostać zamordowany.

— Nie, o tym nie słyszałem. — Wypadek ten wydarzył się dopiero przed dwoma dniami, a wiadomości o nim nie rozeszły się jeszcze zbyt szeroko. Sprawa przedstawia się jak następuje:

— Pułk 117 jest, jak wiesz zapewne, jednym z najślawniejszych pułków irlandzkich. Dokazywał on cudów waleczności podczas wojny krymskiej, jako też podczas powstania w Indiach, a odznaczał się też zawsze przy każdej innej sposobności. Aż do ubiegłego poniedziałku dowodził nim pułkownik James Barclay, dzielny, stary wojak. Barclay wstąpił do służby jako prosty żołnierz; z powodu zasług, jakie położył w wojnie indyjskiej, został mianowany oficerem, a wreszcie stanął na czele tego samego pułku, w którym niegdyś nosił karabin.

Pułkownik Barclay ożenił się, gdy był podoficerem. Żona jego nazywała się Nancy Davoy i była córką dawnego feldfebla¹ z tego samego korpusu. Gdy młodzi małżonkowie zmienili swą sytuację towarzyską, po awansie Barclaya, nie obeszło się bez nieporozumień. Ale oboje byli jeszcze bardzo młodzi, ogromnie szybko zorientowali się i dostosowali się do zmienionych stosunków, a pani pułkownikowa cieszyła się w kołach żon oficerów taką samą sympatią, jak pułkownik Barclay wśród swoich towarzyszy broni.

¹ *feldfebel* – wojskowy stopień podoficera.

Dodam jeszcze, że pani Barclay była bardzo piękną kobietą, a nawet dziś jeszcze, po trzydziestoletnim pożyciu małżeńskim, jest osobą zwracającą powszechną uwagę dystynkcją i szlachetnością rysów.

— Pożycie domowe pułkownika Barclay było, jak się zdaje, bardzo szczęśliwe.

— Major Murphy, któremu zawdzięczam znajomość większości szczegółów tej sprawy, twierdzi, że nigdy nikt nie słyszał o jakichś nieporozumieniach między małżonkami; pułkownik, jak powszechnie mówią, uwielbiał żonę. Jeżeli musiał się oddalić od niej na dzień lub dwa, niepokoił się ciągle o jej zdrowie, mówił tylko o niej. Natomiast pani pułkownikowa, aczkolwiek była wierną i oddaną żoną, mniej objawiała swą troskliwość o męża, przynajmniej wobec obcych. Mimo to w całym pułku uważano ich za kochające się, wzorowe małżeństwo, w ich wzajemnym stosunku nie było nic, co mogłoby przygotować świat na straszną tragedię, jaka się rozegrała w ich domu.

Pułkownik Barclay miał jednak rozmaite właściwości charakteru. W zwyczajnych warunkach był to wesoły, dobroduszny żołnierz starej daty, niekiedy jednak unosił się, a wtedy okazywał się ogromnie mściwym i bezgranicznie gwałtownym. Lecz w stosunkach z żoną właściwości te nigdy nie wychodziły na jaw. Pułkownik miał jeszcze inne charakterystyczne cechy. Zarówno major Murphy, jak i oficerowie, z którymi miałem sposobność rozmawiać, stwierdzają, że niekiedy zauważali u niego szczególne przygnębienie, jakie go nagle ogarniało. Nieraz, gdy brał udział w wesołych pogawędkach towarzyszy i weselił się wraz z nimi, nagle milknął wśród żartów i wesołości, jak gdyby przygniotła go jakaś niewidzialna dłoń. Przez kilka następných dni trawiła go zawsze posępna zaduma. Prócz tego wszyscy wspomniani wyżej panowie spostrzegli u niego dziwny rodzaj zabobonnej trwogi. Mianowicie pułkownik bał się zostawać samotnie, zwłaszcza gdy zapadł zmierzch. Wobec jego silnej

i męskiej natury była to właściwość trudna do wytłumaczenia i często budziła powszechne zdziwienie.

Pierwszy batalion 117. pułku stał już od kilku lat załogą w miejscowości Aldershot. Oficerowie żonaci wynajmowali zwykle mieszkania poza obrębem koszar, a pułkownik Barclay mieszkał przez cały czas w willi Lachine, oddalonej mniej więcej o pół mili angielskiej od koszar północnych. Dom jest dokoła otoczony drzewami i krzewami, które zwłaszcza od strony zachodniej pokrywają przestrzeń długości około trzydziestu metrów aż do gościńca. Pułkownik, jego żona, woźnica, i dwie służące, to byli jedyni mieszkańcy willi; małżonkowie nie mają dzieci, rzadko też przybywał ktoś do nich w gościnie.

A teraz muszę ci przedstawić to, co się wydarzyło w willi Lachine w poniedziałek, między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczorem. Pułkownikowa jest katoliczką i brała zawsze bardzo czynny udział w dobroczynnych pracach instytucji imienia św. Jerzego, która zajmuje się głównie rozdzielaniem odzieży między biedaków. O godzinie ósmej miało się odbyć posiedzenie w instytucji, dlatego pani Barclay kazała wcześniej niż zwykle podać wieczerzę, aby potem mieć już czas wolny. Kiedy wychodziła z domu, woźnica słyszał jej rozmowę z mężem i twierdzi, że pożegnali się bardzo serdecznie, a pułkownikowa przyrzekła mu, że niebawem powróci. W sąsiedniej willi pani Barclay spotkała się z panną Morrison, biorącą również udział w pracach instytucji, i wraz z nią udała się na posiedzenie, które trwało około trzech kwadransów. Mniej więcej kwadrans po dziewiątej obie panie wracały już do domu i rozstały się bardzo serdecznie w pobliżu swych mieszkań.

Na zachodniej stronie willi Lachine znajduje się mały pokój jadalny. Ma on drzwi szklane wiodące do ogródka, otoczonego tylko niskim murem, zakończonym u góry kratą żelazną. Dostęp do willi z gościńca jest więc niezmiernie łatwy. Pani

Barclay, powróciwszy do domu, udała się do tego pokoju. Okiennice nie były jeszcze zamknięte, bo wieczorami małżonkowie rzadko tu siadywali. Sama zapaliła lampę, zadzwoniła na pokojówkę i rozkazała jej, wbrew codziennym zwyczajom, podać sobie szklanekę herbaty. Pułkownik siedział obok w dużym pokoju jadalnym, a usłyszawszy, że żona powróciła, przeszedł do pokoju bufetowego. Woźnica widział go stojącego na progu. Wtedy ostatni raz widziano go żywym.

Gdy w dziesięć minut później wróciła pokojówka, niosąc herbatę, przestraszyła się, słysząc w pokoju gwałtowny spór między pułkownikiem i jego małżonką. Zapukała do drzwi, ale nikt jej nie odpowiedział. Nacisnęła klamkę, lecz drzwi były z wewnątrz zamknięte na klucz. Wobec tego pobiegła z powrotem do kuchni i opowiedziała o kłótni kucharce i woźnicy. Wszyscy troje udali się na górę i stanąwszy przed drzwiami, nadśluchiwali, co się wewnątrz dzieje. Wszyscy troje zgadzają się w zeznaniu, że było słychać tylko głos pułkownika i jego żony, a żadnej obcej osoby. Barclay mówił cichymi, oderwanymi zdaniami, tak że podsłuchujący nie mogli zrozumieć jego słów. Natomiast ton głosu pani pułkownikowej był nadzwyczaj rozdrażniony i pełen gorczy. Gdy podniosła głos, uniesiona widocznie gniewem, można było wyraźnie słyszeć, co mówiła.

„Ty nikczemny tchórzez” — powtarzała kilkakrotnie — „cóž teraz będzie? Oddaj mi moje utracone szczęście! Nie potrafię oddychać tym samym powietrzem, co ty, nędzny, nikczemny łotrze!”

Nagle z piersi pułkownika wydarł się straszny krzyk przerażenia, potem słychać było jakiś ciężki upadek i znowu rozpaczliwe jęczenie pani Barclay. Jęki te nie ustawały. Woźnica, przekonany, że wewnątrz stało się jakieś nieszczęście, począł dobijać się do drzwi, a gdy to nie pomagało, próbował je wywalić przemocą. Ale drzwi były mocno osadzone, a przerażone dziewczęta biegały po korytarzu jak obłąkane i nie chciały mu przyjść z pomocą. Wówczas użył

innego sposobu; pobiegł do głównych drzwi, a potem do ogródka, do którego prowadziły szklane drzwi z pokoju. Jak zwykle w porze letniej jedno skrzydło okna było otwarte, dzięki czemu bez trudności dostał się do wnętrza. Pani Barclay przestała już jęczeć, leżała bez przytomności na kanapie, nieszczęśliwy pułkownik był rozciągnięty na ziemi, głowa zboczona krwią dotykała prawie krat kominka.

Widząc, że pułkownik już nie żyje i że nie pomoże mu żadna pomoc, woźnica postanowił ratować przede wszystkim panią Barclay i wołając służące, chciał otworzyć drzwi. Ale wbrew swemu oczekiwaniu natrafił na nową trudność. Drzwi były zamknięte, a klucz wyjęty, mimo poszukiwań nie mógł go nigdzie znaleźć. Wreszcie więc wyskoczył znowu przez okno i pospieszył po policję. Przywołany ślusarz otworzył drzwi, policja i lekarz weszli do pokoju. Przede wszystkim przeniesiono do sypialni panią Barclay, która jeszcze ciągle była nieprzytomna, a na którą oczywiście padały silne podejrzenia. Potem ułożono zwłoki pułkownika na kanapie i przystąpiono do szczegółowego zbadania całego pokoju.

Na głowie zmarłego pułkownika była śmiertelna rana, długości dwa cale; najprawdopodobniej zadano mu silny cios jakimś tępym narzędziem. Nie trzeba było długo szukać za narzędziem zbrodni. W pobliżu leżał drewniany harap², szczególnego kształtu, z kościaną rękojeścią. Pułkownik posiadał piękną kolekcję broni, zebraną jeszcze podczas jego służby w zamorskich krajach, policja przypuszczała więc, że niezwykle harap do niej należał. Wprawdzie służba utrzymywała, że nigdy nie zauważono tego narzędzia, ale łatwo mogli go nie dostrzec wobec tego, że w domu było bardzo wiele niezwykle przedmiotów. Poza tym nie udało się znaleźć nic, co by zwracało szczególniejszą uwagę. Jedno tylko jest dotąd tajemnicą: co stało się z kluczem. Mimo troskliwego szukania nie

² *harap* – bicz z krótką rękojeścią i długim plecionym rzemieniem, używany dawniej na psy myśliwskie.

znaleziono go ani w pokoju, ani w sukniach pułkownikowej, ani kieszeniach Barclaya.

Tak przedstawiała się sprawa, gdy we wtorek rano udałem się do Aldershot, aby z polecenia majora Murphy'ego dopomóc policji w jej usiłowaniach. Przyznasz, że już to samo, co ci opowiedziałem, wystarczało, aby podnieć moją ciekawość. Nie dosyć na tem. Badania, jakie przedsięwziąłem, przekonały mnie aż nazbyt dowodnie, że wypadek ten jest bez porównania ciekawszy i charakterystyczniejszy, niż się wydawało z pozoru. Zanim przystąpiłem do zbadania miejsca wypadku, przesłuchałem pierwej służbę. Przesłuchanie to potwierdziło wspomniane już fakta, tylko pokojówka Jane przypomiwała sobie szczegół, o którym dotychczas nie było mowy. Oświadczyła ona, że gdy stała z herbatą przed drzwiami, państwo jej rozmawiali w pokoju tak cichym głosem, że nie rozumiała ani słowa. Jedyne z tonu rozmowy wywnioskowała, że małżonkowie kłócą się z sobą. Ale wiesz, że umiem wyciągnąć zawsze z człowieka wszystko, co wie. Otóż gdy zacząłem stawiać jej krzyżowe pytania, przypomniała sobie nagle, że pani jej wymieniła dwukrotnie imię Dawid. Szczegół ten jest o tyle ważny, że może wyjaśnia on przyczynę kłótni. Imię pułkownika brzmi James, więc nie mogła się przesyśleć.

Najgłębsze jednak wrażenie zarówno na służbę, jak na policję wywarły rysy twarzy pułkownika, wykrzywione rozpazą i przestraczem. Malowała się w nich tak beznadziejna trwoga, taka groza, że kilka osób omal nie zemdlało na sam widok trupa. Pułkownik przewidział zapewne grożący mu los, straszny skurcz przestraczu pozostał na twarzy po zgonie. Potwierdza to pod pewnym względem zapatrywania policji i pozwala przypuszczać, że pułkownik widział, iż żona zamierza go zamordować. To, że rana znajduje się z tyłu głowy, nie dowodzi niczego, zdaniem policji, ponieważ można to wytłumaczyć w ten sposób, iż Barclay odwrócił

się trochę, aby uniknąć grożącego mu ciosu. Zeznania żony pułkownika byłyby oczywiście niezmiernie ważne. Niestety, dotąd nie można jej było przesłuchać, bo ma gwałtowną gorączkę nerwową i nie odzyskała jeszcze przytomności. Tymczasem więc przesłuchano pannę Morrison, która, jak sobie przypominasz, była towarzyszką pani Barclay podczas jej spaceru w krytyczny wieczór. Panna Morrison nie umiała jednak podać powodu rozdrażnienia pułkownikowej i twierdzi, że rozstała się z towarzyszką po spokojnej, towarzyskiej rozmowie.

Zbadawszy to wszystko i przesłuchawszy świadków, usunąłem się w zaciszny kącik domu i pałac fajkę, próbowałem ułożyć w duchu całą sprawę, oddzielić istotne fakta od okoliczności ubocznych. Nie ulegało wątpliwości, że najważniejszym punktem zaczepienia całego problemu było tajemnicze zniknięcie klucza. Nie znaleziono go w pokoju, pomimo najstaranniejszego śledztwa, więc musiał zostać usunięty. Ale tego nie uczynił ani pułkownik, ani jego żona, to było pewne. A zatem w pokoju musiała być jeszcze jakaś trzecia osoba. To jasne, nieprawdaż? Osoba ta weszła niewątpliwie przez okno, bo to było jedyną drogą w tym wypadku. Mogłem więc śmiało przypuścić, że znajdę jakieś ślady tej zagadkowej istoty albo w domu, albo w ogrodzie, na drodze lub na trawniku. Zastosowałem moje wypróbowane metody, które znasz dawno, drogi Watsonie. Wreszcie udało mi się znaleźć ślad, ale ślad dziwny, który mnie zdziwił niezmiernie. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że w pokoju był jakiś obcy człowiek, odkryłem wyraźnie ślady jego stóp w pięciu rozmaitych miejscach: na gościńcu, w punkcie, gdzie przechodził przez niski mur, na trawniku i na pokostowanych³ parapetach okna, przez które dostał się do pokoju. Przez trawnik biegł pospiesznym krokiem, bo odciski podeszwy są znacznie głębsze niż obcasów.

³ *pokost* – substancja stosowana do impregnacji drewna, produkcji farb; *pokostowany* – powleczony pokostem.

Ale już pierwszej wywnioskowałem, że była w pokoju trzecia osoba, więc me zdziwiło mnie to wcale. Natomiast zdumiałem się, ujrawszy ślady jego towarzysza.

— Jego towarzysza? — zawołałem. Holmes wyjął z kieszeni wielki arkusz jedwabnego papieru i rozpostarł go ostrożnie na kolanach.

— Jak ci się zdaje, co to być może? — zapytał. Papier był pokryty odciskami stóp jakiegoś małego zwierzęcia. Można było wyraźnie rozróżnić stopę o pięciu członkach i ślady długich pazurów.

— To pies — odpowiedziałem.

— Czy słyszałeś kiedy, aby pies spacerował po portierach⁴? Znalazłem wyraźne ślady, że to zwierzę wybiegło w górę po portierze.

— Więc małpa.

— Małpa nie ma takiej nogi.

— A zatem cóż to być może?

— Ani pies, ani kot, ani małpa, ani w ogóle żadne znane nam zwierzę. Próbowałem zrekonstruować w umyśle jego wymiary. Oto są cztery odciski nóg, zwierzę stało spokojnie. Odległość między nogą przednią a tylną wynosi mniej więcej piętnaście cali⁵. Dodajmy do tego szyję i głowę, a możemy przypuścić, że zwierzę ma najmniej dwie stopy długości, a może i więcej, jeżeli uwzględnimy jeszcze ogon. A teraz zastanówmy się nad innymi wymiarami: nieznanne nam zwierzę poruszało się, widzisz tutaj odległość jego kroków, szerokość ich nie wynosi nigdzie ponad trzy cale. Wyciągnijmy wniosek, wypływający niezmiernie jasno z tych pomiarów: zwierzę ma ciało ogromnie długie i niestosunkowo krótkie nogi. Na nieszczęście nie było tak uprzejme, aby zostawić nam próbkę swego owłosienia. Ale bądź co bądź wygląda tak, jak ci je przedstawiłem. Można jeszcze dodać, że należy do mięsożernych.

⁴ *portiera* – zasłona u drzwi lub okna z grubego, ciężkiego materiału.

⁵ *cal* – 2,54 centymetra.

— A to z czego wnioskujesz.

— Z tego, że wybiegło w górę po portierze. W pobliżu drzwi wisiała klatka z kanarkiem, rabuś nasz miał widocznie smak na ptaszka.

— Ale jakież to było zwierzę?

— Ba, gdybym to wiedział, badanie moje byłoby niezmiernie ułatwione. Zalewie mogę przypuszczać do jakiej należy rodziny, a i to niezbyt pewnie.

— I sądzisz, że zwierzę to pozostaje w jakimś związku ze zbrodnią.

— To jeszcze kwestia niewyjaśniona. Bądź co bądź, jak widzisz, zrobiłem już ładny krok naprzód. Dochodzimy do przekonania, że człowiek ten przyglądał się z ulicy kłótni między pułkownikiem a jego żoną — okiennice nie były zamknięte, w pokoju paliła się lampa. Dalej widzimy, że towarzyszyło mu jakieś nieznanne zwierzę, że przebiegł po trawniku i przez okno dostał się do pokoju i że zamordował pułkownika Barclaya. To ostatnie nie jest zbyt pewne, bo nie jest także wykluczone, że pułkownik, zobaczywszy tylko przybysza, padł przerażony na ziemię i roztrzaskał sobie głowę o wystającą kratę kominka. Tę ranę z tyłu można różnie wytłumaczyć. Wiemy wreszcie, że nieproszony gość, wychodząc z pokoju, zabrał w niewiadomym celu klucz od drzwi wchodowych.

— A jednak po tym, co powiedziałaś, sprawa wydaje mi się jeszcze mniej zrozumiałą, niż pierwiej — wtrąciłem.

— Masz słuszność. Dowodzi to niewątpliwie, że problem ten jest bardziej zagadkowy, niż policja przypuszczała zrazu. I dlatego po dokładnym namyśle postanowiłem jeszcze raz przebiec pamięcią całą sprawę, ale z innego punktu widzenia. Pewnem było, że pani Barclay, wychodząc z domu o godzinie ósmej, pożegnała się z małżonkiem bez gniewu. Wprawdzie nigdy nie okazywała mu szczególnej czułości, ale woźnica słyszał wyraźnie słowa pożegnania

i gotów przysiąc, że były one zupełnie serdeczne. Niemniej jest pewnem, że po powrocie do domu udała się do innego pokoju, niż zazwyczaj, tam, gdzie nie spodziewała się zastać męża, że kazała sobie o niezwyklej porze podać szklankę herbaty — jak wiesz, jest to ulubiony środek kobiecy na uspokojenie nerwów — i że wreszcie zaraz, skoro mąż wszedł do pokoju, zaczęła mu czynić gwałtowne wyrzuty. A zatem między godziną ósmą a dziewiątą stało się coś, co zmieniło zupełnie ustrój jej umysłu i jej uczucia dla męża. Panna Morrison towarzyszyła jej przez ten cały czas, więc pewnem było, że musi ona wiedzieć coś więcej o tej sprawie, chociażby zaprzeczała.

Najpierw przyszło mi na myśl, że może między starym Barclayem a panną Morrison istniały jakieś czułe stosunki i że pułkownikowa dowiedziała się o nich podczas przechadzki z panną Morrison. W ten sposób można by tłumaczyć gniew pani Barclay po powrocie do domu, jako też twierdzenie młodej panny, że w ciągu tej godziny nie zaszło nic szczególnego. Ale z drugiej strony ta aluzja jakaś do imienia Dawida, a prócz tego wielka miłość, jaką pułkownik okazywał żonie, co wszyscy zgodnie stwierdzają. Tu już rodziły się wątpliwości. Wreszcie przekonujący argument: jak wytłumaczyć sobie w takim razie zjawienie się, owego obcego człowieka? Jak wytłumaczyć zniknięcie klucza?

Tak więc pierwsze przypuszczenie o stosunkach Barclaya z panną Morrison odrzuciłem zupełnie, jako niewytrzymujące żadnej krytyki. To jednak tym silniej utwierdzało mnie w przekonaniu, że młoda dama, gdyby tylko zechciała, mogłaby wyjaśnić, z jakiej przyczyny miłość pani Barclay do jej męża zamieniła się nagle w nienawiść. Postanowiłem udać się do panny Morrison, aby jej wykazać, że mam pewność, iż w jej ręku spoczywa rozwiązanie zagadki. Co więcej, postanowiłem ją przekonać, że wszelkie zatajanie tego, co się stało, będzie najgorszą przysługą dla jej przyjaciółki, bo w takim razie będzie ona bezwarunkowo obwiniona

o zamordowanie męża.

Panna Morrison jest to osóbką wątlą, zgrabną, o płowych włosach, z bardzo pokorną miną. Nie brak jej ani bystrości umysłu, ani zdrowego rozsądku. Przez chwilę milczała i namyślała się, patrząc w ziemię, potem podniosła oczy, spojrzała na mnie śmiało i udzieliła mi następujących, nadzwyczaj ciekawych informacji:

„Przyrzekłam mojej przyjaciółce” — rzekła — „że zachowam tę sprawę w tajemnicy, a nie zwykłam łamać danego słowa. Ale wobec tego, że pani Barclay grozi tak ciężkie i straszne oskarżenie, wobec tego, że leży chora, bezprzytomna i nie może zeznawać, jest moim obowiązkiem nie tać niczego. I, o ile zdołam, chętnie panu dopomogę w pańskich usiłowaniach, opowiem dokładnie wszystko, co zaszło w ubiegły poniedziałek. Posiedzenie w zakładzie św. Jerzego zakończyło się około tkwadrans przed dziewiątą. Pożegnaliśmy obecne panie i ruszyliśmy w stronę domu. Musiałyśmy przechodzić przez ulicę Hudson, która zwykle o tym czasie bywa cicha i pusta. Po lewej stronie ulicy paliła się latarnia. Przechodząc koło niej, spotkałyśmy jakiegoś człowieka, który wyglądał jak kaleka. Głowę miał wrośniętą głęboko między ramiona, na plecach garb, nogi wykrzywione, całe ciało pogięte w dziwacznej linii. Na plecach niósł jakąś skrzynkę, przewieszoną pasami przez ramiona. Garbus spojrzał na nas pod latarnią, przystanął i zawołał straszonym głosem: «Boże mój, to przecież Nancy!» Pani Barclay zbladła jak trup i byłaby upadła na ziemię, gdyby nie to, że kaleka podtrzymał ją ramieniem. Chciałam już przywołać policję, ale spostrzegłam ku niezmiernemu zdziwieniu, że pułkownikowa rozmawia bardzo uprzejmie z tym człowiekiem.

— To ty, Henryku — rzekła drżącym głosem — od trzydziestu lat uważałam cię za umarłego.

— Bo też nim jestem — odpowiedział garbus takim głosem, że dreszcz przerażenia przebiegł moje ciało. Twarz jego była

ponura i odrażająca, zjadliwy blask jego oczu ciągle jeszcze prześladowuje mnie we śnie. Miał włosy i brodę przyprószone siwizną, skórę zwiędłą i pomarszczoną.

— Moja droga — zwróciła się do mnie pani Barclay — bądź tak dobra i idź powoli naprzód. Chcę rozmówić się z tym człowiekiem. O, nie obawiaj się o mnie! — Aczkolwiek usiłowała nadać pewność swemu głosowi, wargi jej drżały, była ciągle śmiertelnie blada.

Uczyniłam, jak żądała; oboje rozmawiali z sobą przez kilka minut. Potem pani Barclay podeszła ku mnie z oczyma płonącymi gniewem, kaleka stał jeszcze w blasku latarni i podnosił w górę zaciśnięte pięści, jak gdyby oszalały wściekłością. Pułkownikowa w ciągu całej drogi nie przemówiła ani słowa; gdy miałyśmy się już rozstać, ucisnęła mnie serdecznie i prosiła, abym nie wspominała nikomu o tym spotkaniu. «Jest to mój dawny znajomy» — rzekła — «którego los dotknął bardzo ciężko». Gdy przyrzekłam jej milczenie, ucałowała mnie gorąco. Wtedy widziałam się z nią po raz ostatni. Teraz więc, wiesz pan wszystko, co zataiłam przed policją; nie miałam bowiem wyobrażenia, jakie nieszczęście grozi mojej przyjaciółce. Złamałam przyrzeczenie, ale pewna jestem, że przyniesie jej to tylko pożytek, jeżeli prawda się wykryje”.

— Zrozumiesz chyba, Watsonie — ciągnął dalej Holmes, skończywszy opowiadanie — że wyznanie panny Morrison było dla mnie błyskiem światła w czarnej nocy. Wszystko, co dotąd wydawało mi się szeregim niewiążących się z sobą faktów, mogłem teraz ułożyć w logiczne następstwo, zaczynałem tworzyć sobie pewne wyobrażenie o przebiegu całego wypadku. Najpierwszym i najważniejszym zadaniem musiało być oczywiście odszukanie człowieka, który wywarł na panią Barclay tak niezwykle wrażenie. Pomyślałem zaraz, że jeżeli mieszka jeszcze w Aldershot, to nie będzie go trudno odnaleźć. Mieszka tam w ogóle niewiele osób z klas niższych,

a kaleka z pewnością nie mógłby się ukryć. Cały dzień poświęciłem na poszukiwania, wreszcie w nocy udało mi się go znaleźć. Było to dzisiaj wieczorem, drogi Watsonie. Człowiek ten nazywa się Henryk Wood i wynajmuje mieszkanie na tej samej ulicy, gdzie spotkał się z panią Barclay. Bawi on w tej miejscowości dopiero od pięciu dni. Przedstawiłem się gospodyni domu jako urzędnik, prowadzący spisy mieszkańców i dowiedziałem się od niej rozmaitych rzeczy.

Człowiek ten zajmuje się pokazywaniem sztuczek magicznych. Gdy noc zapadnie, włóczy się po szynkach i urządza przedstawienia. W skrzynce na plecach nosi jakieś zwierzę, którego gospodyni niezmiernie się obawia, bo nigdy jeszcze nie widziała podobnego stworzenia. Twierdzi ona, że zwierzę jest wytresowane i bierze udział w przedstawieniach. Gospodyni oświadczyła także, że nie pojmuje, jak człowiek może żyć z tak pokrzywionymi członkami. Niekiedy lokator jej mówi jakimś dziwnym językiem, do niczego niepodobnym; w ostatnich dwóch dniach był zrozpaczony i zdenerwowany, jęczał i szlochał prawie bez przerwy. Nie brakuje mu wcale środków do życia, dał jej nawet znaczną sumę do przechowania, wśród pieniędzy tych znajduje się także nieznaną jej zupełnie, złota moneta. Pokazała mi to dziwo, i wyobraź sobie moje zdumienie, była to indyjska rupia.

Tak więc przedstawiłem ci wszystko, co sam wiem, drogi Watsonie. Zapewne domyślasz się już, do czego potrzebuję twojej pomocy. Jest zupełnie jasnym, że człowiek ów poszedł owego wieczora za panią Barclay i przez okno zobaczył spór między małżonkami. Wdarł się do pokoju, przy czym tajemnicze zwierzę uciekło mu ze skrzyni. O tym zaś, co zaszło w pokoju, nie może nam nikt udzielić lepszych informacji, jak on sam.

— I zamierzasz go o to zapytać?

— Oczywiście. Ale muszę to uczynić w obecności jakiegoś świadka.

— I ja mam być tym świadkiem?

— Tak jest, jeżeli się na to zgodzisz. Zresztą zadanie nasze jest nader proste. Jeżeli wyjaśni mi sprawę, to rozstaniemy się zgodnie. Jeżeli odmówi wyjaśnień, nie pozostaje nic innego, jak postarać się o rozkaz aresztowania.

— Ale ktoś ci zaręczy, że będzie czekał w mieszkaniu, póki nie przyjdziemy.

— O, zarządziłem już potrzebne środki, aby nam nie umknął. Kilku moich chłopaków z Bakerstreet stoi na straży, malcy pójdą za nim wszędzie, gdzie się ruszy. Bądź więc spokojny, zastaniemy go jutro w jego mieszkaniu przy ulicy Hudson. Lecz teraz byłoby zbrodnią, gdybyśmy nareszcie nie udali się na spoczynek.

Spaliśmy zaledwie kilka godzin. Już wczesnym rankiem znajdowaliśmy się na miejscu smutnej tragedii, a potem, udaliśmy się szybko na ulicę Hudson. Aczkolwiek Holmes umiał dobrze ukrywać wszystkie swoje uczucia, to jednak zauważyłem dzisiaj u niego zdenerwowanie z trudem tylko pokonywane. I ja także doznawałem pewnego niepokoju, jak myśliwiec, który idzie na spotkanie zwierzyny; byłem też bardzo zadowolony, że los pozwolił mi uczestniczyć w tym zagadkowym dramacie.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Holmes, skracając w jedną z ulic pobocznych. — Ale oto biegnie Simpson, aby mi dać sprawę z powierzonego mu zadania.

— Jest w domu, jest w domu, panie Holmes — wołał ulicznik, pędząc naprzeciw nas.

— Dobrze, Simpsonie — rzekł mój przyjaciel, głaskając go po głowie. — No, chodźmy, Watsonie, mieszka w tym domu.

Holmes posłał kalece swoją kartę wizytową i kazał mu powiedzieć, że chce się z nim rozmówić w bardzo ważnej sprawie.

W kilka minut później stanęliśmy naprzeciw człowieka, którego tak pragnęliśmy widzieć. Pomimo ciepła na dworze, siedział

skulony przy kominku, w pokoju było tak parno jak w piecu. Cała jego postać była dziwnie pokrzywiona, lecz na wychudłej, słońcem spalonej twarzy znać było ślady dawnej piękności rysów. Spoglądał na nas nieufnie wyblakłymi oczyma, potem, nie mówiąc ani słowa, nie ruszając się z miejsca, wskazał nam dwa krzesła, stojące w pobliżu kominka.

— Jeżeli się nie mylę, mam przed sobą pana Henryka Wood z Indii? — rzekł Holmes przyjacielskim tonem. — Chciałbym pomówić z panem kilka słów o śmierci pułkownika Barclaya.

— Skądże ja miałbym coś o tym wiedzieć?

— O to mi właśnie chodzi. Albowiem gdyby sprawa nie została wyjaśniona, to w takim razie pani Barclay, którą znasz pan dobrze jeszcze z Indii, zostanie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa oskarżona o zamordowanie swojego męża.

Kaleka zerwał się przerażony.

— Nie wiem, kto panowie jesteście — zawołał — ani też skąd dowiedzieliście się o tym, co mówicie. Ale czy to prawda, co mówicie? Czy to prawda? Czy możecie przysiąc, że to prawda?

— Tak jest, panie Wood. Oczekują tylko, aby pani Barclay odzyskała zupełną przytomność, a wówczas zostanie aresztowana.

— Wielki Boże! A może panowie także należycie do policji?

— Nie.

— Więc cóż was ta sprawa obchodzi?

— Każdy człowiek powinien dążyć do tego, aby na świecie nie działa się niesprawiedliwość.

— Mogę przysiąc na to, że ona niewinna.

— Zatem pan jesteś mordercą?

— Nie, nie ja.

— A więc któż zabił pułkownika Barclaya?

— Dosięgła go sprawiedliwość nieba. Ale to jedno mogę panom powiedzieć: gdybym był roztrzaskał mu czaszkę, jak to